

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

15,

— Może krakowskim, — dorzucił doktor, — bo konserwatyzm, to cecha Krakowa.

— Za też pan Krakowianin, — mówiła z wyrzutem Klimcia, — a tak nienawidzi Krakowa?

— Któż to pani powiedział? — zdziwił się, — jestem wprost rozkochany w Krakowie, uważam go za najpiękniejsze miasto w Polsce i zawsze z radością go witam po każdej podróży.

— Ładna mi miłość, — zadrwiła radczyni, — suchej nitki pan na nim nie zostawiasz, ciągle krytyki, wyśmiewania.

— Tylko z moich współobywateli, ale nie z miasta.

— I co pan im ma do zarzucenia?

— Poszczególnym ludziom nic, są mniej lub więcej przyjemni, nawet rozumni, ale tłum, pani, tłum! Taka już nie specjalna głupota, ale ogólna, ta prosi się o smaganie.

— Rozumny człowiek jest wyrozumiały, odezwał się poważnie Maryewski.

— Ma pan słuszność — skinął doktor głową, — syty i bezpieczny o przyszłość, jest zawsze wyrozumiały.

— Czy to znaczy, że pan doktor siebie za takiego uważa? — uśmiechnęła się Klimcia.

— Mówiąc symbolicznie, cierpię na równi z innymi na głód serca — odciął doktor.

Przez ten czas Roman nalewał herbatę a Irena roznosiła.

— Pozwolisz, Paulisiu, że panowie zapalą papierosy?

— Jeśli chcą... dobrze.

Doktor, Maryewski i Roman zajęli się uprzątnięciem stołu i ustawianiem reszty butelek niewypitych.

— Panie adjunkcie, jeszcze po lampce wina — zachęcał Roman.

— A dobrze, jak wisieć to wisieć; wiem, że już trochę odchoruję.

— Przyjdź pan do mnie, dam proszki, pomogą na pewno po takim pijaństwie, uśmiechnął się doktor.

Wszczęła się rozmowa o nowinach dnia, o polityce, o przyszłych, a blizkich wyborach do Rady Państwa.

Pierwsza wstała radczyni i poczęła się żegnać. Zatrzymywała ją Czajkowska mówiąc:

— Zostań jeszcze, Paulisiu, czy się tak znudziłaś?

— O, nie! było nawet wesoło... — zapewniała radczyni — ale nie chcę wam przeszkadzać.

— Jakto, Paulisiu, w czym? — zaniepokoiła się Czajkowska.

— Bez nas będzie wam swobodniej.

— Cóż znowu, z tobą o wiele przyjemniej.

— Idziemy wszyscy, — mówił doktor, a spojrzawszy na zegarek: — Boże! już kwadrans na jedenastą, cały Kraków śpi! Chodźmy, chodźmy!

Roman ofiarował się, że odprowadzi ciotkę i kuzynkę. Odmówiła radczyni, zwłaszcza, że doktor powiedział:

— Zostań pan. Pani radczyni pozwoli się odprowadzić?

— Bardzo chętnie.

— No, a pan, panie adjunkcie, nie przejdzie się z nami? — zachęcał doktor.

— Takie wilgotne powietrze... gdyby nie było pana doktora, to naturalnie, z całą przyjemnością...

— Już niech nas pan nie odprowadza, — zaśmiała się radczyni, — zwalniam pana, ale musi pan przysiąc, że odwiedzi nas w tych dniach; nie należy tak zaniedbywać dobrych znajomych.

— Będę napewno, tylko dnia oznaczyć nie mogę.

Po wyjściu gości, Roman, pomagając matce i siostrze w uprzątnięciu, spytał z odcieniem dumy:

— A co doktor? czy nie jest to żywy człowiek?

— Bardzo przyjemny, może trochę za bardzo złośliwy.

— Moja mamę, — odezwała się Irena, — w Krakowie chyba nie można być zbyt złośliwym.

XIV.

Przymusowa bezczynność i troska o przyszłość męczyły Romana i zatrzymywały mu każdą przyjemną chwilę. Widział, z jaką obawą matka codziennie obliczała wydatki, oszczędzała o ile umiała i mogła, a nie chcąc go martwić, tłumiła w sobie wzrastający niepokój.

Postanowił ogłosić w dziennikach, że poszukuje posady buchaltera, kasyera, korespondenta, i podał adres pod literami na pocztę. Przez jakiś czas chodził regularnie i dopytywał się o listy.

Po tygodniu otrzymał nareszcie odpowiedź na swe ogłoszenie. Ofiarowano mu miejsce buchaltera i korespondenta w browarze na głębokiej prowincji z placą stu koron i mieszkaniem. Posada ta, zdala od Krakowa, z niską placą, któraby ledwie wystarczała na utrzymanie jego jednego, wydała mu się niemożliwą do przyjęcia i napisał list odmowny.

Trochę z nudów, a trochę z potrzeby widywania ludzi, zwłaszcza przyjezdnych, zaczął bywać na piwie w pierwszorzędnym handlu, gdzie istotnie spotykał się z kilku Warszawiakami i stopniowo poznawał też ze stałymi gośćmi handlu. Wszedł w towarzystwo względnie młodych ludzi, urzędników, którzy dość wesoło czas przepędzali, a dowiedziawszy się o poszukiwaniu posady przez Romana, zajęli się tą sprawą trochę przez ambicję, a trochę powodowani sympatją.

Na jednym z takich posiedzeń gwarnych przy piwie, sąsiad Romana Kanicki, blondyn, z przyjemną twarzą, zaczął głosem miarowym, obojętnym:

— Panie Czajkowski, znalazł pan posadę?

Roman potrząsnął przecząco głową, a Kanicki mówił dalej:

— Słyszałem dziś w biurze, że skład węgla Lenfussa poszukuje buchaltera i korespondenta, gdyby się ta posada panu nadała, znalazłbym drogę do Lenfussa.

Roman uściśnął rękę Kanickiego i zawołał gorąco:

— Serdecznie dziękuję panu, i będę korzystał. Nie ma z pan pojęcia, jaka nuda i pustka bez pracy.

To żywsze przemówienie zwróciło uwagę towarzystwa, i Remberski, łysawy szatyn z ciemnymi wąsami na przyjemnej, łagodnej twarzy, spytał:

— O czym to mówicie?

Kanicki milczał z dyplomatyczną obojętnością, podparłszy brodę na rękę, a Roman odpowiedział tonem wdzięczności i uznania:

— Pan Kanicki był tak dobry, że pamiętał o mej sprawie, i już za to samo jestem bardzo wdzięczny.

— Bez tej blagi! — mruknął z arystokratyczną miną Kanicki:

Skądże wytrzasnąłeś posadę? — spytał z zajęciem Remberski. — bo ja mości dzieju, pół roku jak obszył. szukałem posady dla szwagra...

— Rodzonego, czy przygodnego? — spytał poważnie Kanicki.

— Głupis, odparł z dobroduszną miną Remberski, — przygodnych nigdy nie liczę, mówię o szwagrze autentycznym, i niech mi jasny piorun trzaśnie, jeśli znalazłem. A mam, mości dzieju, i kolegów, i przyjaciół... i nic, — rozłożył ręce. — A jaka to posada?

— Pan wie, spojrzał Roman na Kanickiego, który odchrząknął i odrzekł jednostajnym głosem:

— Dziś do biura wpadł Kerner...

— Czy on z naszych? — uśmiechnął się Remberski.

— No, tak, z tej starej, palestyńskiej arystokracji... i opowiadał, że jego krewny Lenfuss węglarz, robi doskonałe interesa, tak dalece, że potrzebuje już buchaltera i korespondenta. Opowiedziałem to panu Czajkowskiemu.

— A ja ci powiadam, mości dzieju, — mówił tonem przekonania Remberski, gestykulując prawą ręką z wyprostowanymi trzema palcami, — że to ładak i oszust.

— Kto? — spytał poważnie Kanicki, — Kerner, czy Lenfuss?

— Mości dzieju, oba! bo oba żydowiny, to wystarczy.

— To już przesada, — wmieszał się do rozmowy Milczak, szatyn szpakowaty z żywymi, bystreimi oczyma, — i ty zawsze, Remberski, jedziesz na tych żydów.

— Uspokój się bracie, jeśli mówię, że Lenfuss oszust i ładak, to niech mnie jasny piorun trzaśnie, jeśli to nieprawda.

— Masz dowody? — spytał zimno Kanicki.

— Szpetne, — popił piwa.

— Pewnie plotki babskie, — zarzucił Milczak, — Lenfuss przychodził do nas do biura, gładki człowiek.

— Jak lis, jak wąż, mości dzieju — puścił kłęb dymu — a co do plotek, nigdy ich nie słucham, nie powtarzam i z babiszonami nie rozmawiam.

— Dowody? — spojrzał Kanicki poważnymi niebieskimi oczyma na Remberskiego, który odpowiedział:

— Słuchaj, w Oświęcimiu, ten sam jewrej, ale chodził w chałacie i z trybuszonami, miał skład drzewa. Ponaciagał okolicznych obywateli, co doro-

wałbym złodziejowi, bo i oni oszukują chłopą; ale, mości dzieju, przyjął buchaltera, korespondenta, kasyera, inkasenta, wszystkich za kaucją i pewnego dnia zbankrutował. Ułożył się z wierzycielami, zapłacił długi w stosunku po dziesięć za sto, schował pieniądze i niech mnie jasny piorun trzaśnie, jeśli tego samego nie zrobi tutaj z węglami.

Wszczęła się bardzo ożywiona dyskusja na temat żydowskiej przebiegłości i oszustw. Każdy miał coś do opowiedzenia na ten temat, nie wyjmując Romana.

— Wierz mi pan, albo nie wierz, — gestykulował żywo Remberski, — a ja powiadam panu, mości dzieju, że, chcesz pan dopłacić do swojej pracy i dostać parchów moralnych, to idź, mości dzieju, za radą Kanickiego do Lenfussa, a niech mi jasny piorun trzaśnie, wyjdiesz pan bez butów, o ile będziesz je miał.

— Remberski, czego tak wrzeszczysz? — przystąpił do stołu brunet łysawy z opuszczonym wąsem, z twarzą szczerą i smutną.

— Ależ, uważasz Marski, — odpowiedział zniechęconym głosem, — Kanicki bierze w protekę żyda, i niech mi jasny piorun trzaśnie, jeżeli wkrótce nie będziemy wszyscy sługami żydów.

Marski kazał sobie podać piwa, mitygując z uśmiechem:

— Nie irytuj się... tak źle nie będzie, — usiadł naprzeciw Remberskiego.

— Ty tego nie czujesz, mości dzieju, — gorączkował się, — bo u was w biurze rozpanoszyły się żydy, ale żeby taki Kanicki polecał porządnemu człowiekowi służbę u żyda i żyda protegował, tego się nie spodziewałem.

— Z tobą się nie dogadam, o co idzie? — zwrócił się Marski do reszty towarzystwa.

Wyjaśniono mu rzecz całą, a rozżalony Kanicki mówił:

— Gdyby tego Remberskiego, i o tej mojej protekcyi żyda słyszał koń dorożkarski, i tenby się roześmiał. Ja? ja żydów popieram? Jeszcze za grosz u nich nic nie kupiłem. A bodajś w konia wlaź z tą niby moją protekcyą! — zapomniał na chwilę o swej powadze i rozjaśniła mu się twarz uśmiechem.

— Remberski ma rację, — zdecydował surowo Marski, — niema co gadać, Lenfuss oszust, i nie radzę panu, — zwrócił się do Romana, — udawać się do niego.

— „Meinetwegen“ — odezwał się Milczak, — chcecie niechże Lenfuss będzie oszust...

— Żadne: niech, — gorączkował się Remberski, — jeśli mówię tak, to tak, a nie, to cię zeszympfuje.

— To, później, — uśmiechnął się Milczak, — ale z naszej rady chyba nie będzie, „gitt's“? a idzie o wyszukanie posady.

— Czekajcie, — powiedział Marski, patrząc bacznie na Romana, — może coś znajdzie. Stokłos, mój znajomy, urządza tu kinematograf; mówił mi, że potrzebuje pomocnika. Ile płaci, czego wymaga, nie dowiadywałem się, bo mnie to nie interesuje. Może pan porozumie się z nim?

— Bardzo chętnie, — odrzekł Roman.

— To co innego, mości dzieju, jeśli Marski, mój ziomek, bośmy z jednej wsi, powie do pana — patrz na Czajkowskiego — idź, to możesz pan nie żałować pedałów, i pogadać z człowiekiem, a nie z bydlęciem.

— To bogaty chłop, — odezwał się Milczak.

— Czy bogaty, — nie wiem, rzekł Marski, — ale grosz ma, zarobił, czy na terenach naftowych, czy na handlu świniami.

— Marski, a ten pieniądz nie śmierdzi? — spytał podejrzliwie Remberski.

— Chyba nie, uczciwy, znam jego żonę, dobra baba z kośćmi...

— Tylko babiszonów nie mieszaj, ostrzegał Remberski, — ale kiedy mówisz: uczciwy, to pewno tak jest. Machajże pan, — spojrzał na Romana, — czasu szkoda. A ty Marski, daj mu paszport i wypisz dokumentnie, o co idzie, bo poco ma psuć sobie gębę opowiadaniem.

Marski wyjął bilet i zaczął pisać.

— Tego Stokłosa, odezwał się Kanicki, — pamiętam z uniwersytetu.

— Słuchaj Kanicki, — skrzywił się Remberski, — wylecz się z tego germanizmu. Ciągłe kłapiesz: uniwersytet, awanzy, influenza, sensacja... a te szwabry rozmyślnie szympfując język francuski, wymawiają zamiast uczciwego s, szpetne z.

— Przepraszam cię, — mówił z zimną, odstraszającą grzecznością Kanicki, — że obraziłem twe delikatne, arystokratyczne, sfrancuziałe ucho, bo tylko twoje wielkie ucho chwyta te różnice.

— Gadasz „wie überhaupt ein Leutnant“, mości